

JOANNA SOWA

(Łódź)

JÓZEF MACJON (1938–2021) W PRYZMACIE PAMIĘCI

Powyższy tytuł wyraża ograniczenie wynikające z ułomności naszej jednostkowej pamięci, która nie pozwala uchwycić ani ukazać pełnego obrazu drugiego człowieka, lecz rozszcza go na pojedyncze przebliski, ułamki, fragmenty mozaiki, które po jego odejściu zostają nam w ręku jak niekompletne puzzle. Ponieważ jednak światło przesączone przez pryzmat, choć zmienione i pozbawione swej integralności, zachowuje zdolność oświetlania, pozostaje mi mieć nadzieję, że ta skromna wiązka obrazów może przywoływać w pamięci tych, którzy znali doktora Macjona, obrazy kolejne, które zachowają jego postać żywą w naszych wspomnieniach.



Józef Macjon na szczycie Gerlachu

WINDA

W latach osiemdziesiątych zeszłego wieku łódzka Katedra Filologii Klasycznej mieściła się w dużym mieszkaniu na czwartym piętrze kamienicy przy ulicy Narutowicza. Większe pokoje pełniły funkcję sal wykładowych, w mniejszych mieścił się sekretariat i gabinet kierownika. W pękaty, mniej lub bardziej zabytkowych szafach, stojących pod ścianami wszystkich pomieszczeń, tłoczyła się biblioteka, a spory wejściowy hol stanowił połączenie palarni (nie były to czasy, kiedy wiedza o szkodliwości palenia przekładała się na jakiegokolwiek ograniczenia praktyczne), stołówki i centrum życia towarzyskiego. Tutaj też studenci, zgromadzeni wokół zastępującego stół biurka, z mniejszym lub większym przejęciem oczekiwali na rozpoczęcie swoich zajęć. Kamienica, choć przedwojenna, była na tyle nowoczesna, że znajdowała się w niej winda, która ze zgrzytem i skrzypieniem przewoziła kilkadziesiąt razy na dobę na czwarte piętro i z powrotem zarówno wykładowców, jak i studentów (ku nieskrywanej i całkowicie zrozumiałej irytacji pozostałych lokatorów). Zajęcia z doktorem Macjonem odbywały się zwykle przed południem, kiedy ruch w kamienicy i w katedrze był mniejszy, a dźwięki wydawane przez windę z łatwością dominowały nad ściszym gwarem studenckich rozmów. Kiedy przed pierwszą w tygodniu poranną greką nieuchronnie zbliżała się godzina rozpoczęcia zajęć, uwaga oczekujących z narastającym natężeniem skupiała się na nasłuchiwanie. Trzasnęły drzwi! Jedzie! Ale oto winda z jękiem zatrzymuje się na którymś z niższych pięter, a z piersi studentów wydobywa się westchnienie chwilowej ulgi. Ulgi równie nieuzasadnionej, jak krótkotrwałej, bo winda po krótkiej chwili rusza ponownie – w dół, a za chwilę w górę, a w jej drzwiach pojawia się postrach początkujących adeptów języka Homera: doktor Józef Macjon, który nigdy nie spóźnia się na zajęcia...

Ten mrozący krew w żyłach opis może wywołać wrażenie opowieści z dawnej epoki, niemalże z czasów srogiego mistrza Orbiliusza. To prawda – według współczesnych kryteriów Józef Macjon nie był nauczycielem nowoczesnym. Obecnych pionierów walki o „bezwysiłkową” dydaktykę języków klasycznych i odpowiednio do niej dostosowane najnowsze podręczniki zapewne napęli zgrozą myśl, że uczył nas greki z „przestarzałego” Goliasa i każde zajęcia rozpoczynał od surowego i całkowicie tradycyjnego odpytywania z ostatniego materiału, co zwłaszcza na początku edukacji przyprawiało studentów o bezsenność i było powodem opisanej wyżej „windofobii”. Być może jednak jeszcze dziwniejsza wyda się informacja, że po półtora roku tego anachronicznego nauczania byliśmy zdolni do tłumaczenia *Cyropedii*, którą na roku trzecim zastąpiła *Uczta* Platona. Czy byliśmy wybitnymi studentami? Nie, choć na pewno bardziej niż studenci obecni przyzwyczajonymi do systematycznej nauki. Kto nie wyniósł tego przyzwyczajenia ze szkoły, musiał je sobie szybko wyrobić – pod czujnym okiem doktora Macjona inna nauka po prostu nie była możliwa. Było dla niego oczywiste, że celem każdego, kto przyszedł na filologię klasyczną, jest poznanie języków klasycznych oraz starożytnej kultury.

– Na studiach filologicznych najważniejsze są języki! A na filologii klasycznej łacina i greka! – zwracał z naciskiem uwagę, kiedy dostrzegał, że w nasze szeregi zaczyna wkradać się nadmierne, jego zdaniem, rozprężenie.

Nikt nie próbował buntować się przeciwko tym rygorom, ponieważ każdy wyraźnie widział, że choć dużo wymaga od nas, nie mniej wymaga od siebie jako nauczyciela. Nigdy się nie zdarzyło, żeby zajęcia z greki nie odbyły się w przewidzianym terminie, żeby zaczęły się z opóźnieniem lub trwały choć minutę krócej, niż było to zaplanowane. Nigdy też żaden student nie twierdził, że został przez doktora Macjona oceniony niesprawiedliwie – nie wymagał od nas niczego, czego uprzednio nas nie nauczył, czego nie przeciwiczył, czego z właściwą sobie wyjątkową jasnością i precyzją nie wytłumaczył. Dlatego początkowy graniczący ze strachem respekt z czasem zaczynał ustępować miejsca głębszemu szacunkowi, kiedy uczyliśmy się dostrzegać i doceniać coś, co należałoby chyba określić mianem dydaktycznej żarliwości – jego niestrudzone dążenie do przekazania uczniom posiadanej wiedzy, nieznużoną uwagę i niezawodną sprawiedliwość.

TORT

Piedestał, tworzony przez lęk, respekt, szacunek czy podziw, nie jest jednak czymś, wobec czego studenci mogliby na dłuższą metę – ze wstrzymanym oddechem – czuć się dobrze. Dlatego też po szczęśliwym zaliczeniu pierwszego semestru greki w naszej grupie narodził się śmiały plan podjęcia próby „oswojenia” srogiego wykładowcy. Okazją do tego miały być jego imieniny, przypadające 19 marca – w dniu, w którym zgodnie z planem mieliśmy mieć zajęcia. Jedna z koleżanek zapewniła, że jej mama jest mistrzynią w pieczeniu znakomitych tortów, i podsunęła myśl, że taki właśnie tort, podarowany z okazji imienin, mógłby być dowodem naszego szacunku i sympatii, jednocześnie delikatnie torując drogę do wzbudzenia w sercu obdarowanego nieco łagodniejszych wobec ofiarodawców (a raczej ofiarodawczyń, ponieważ nasz rok składał się wyłącznie z dziewcząt) uczuć.

Niepokoili nas jednak myśl, że doktor Macjon może potraktować nasz słodki prezent jako rodzaj przekupstwa lub też – *horribile dictu!* – próbę uniknięcia normalnych zajęć. Dlatego też zapadła decyzja, że wręczająca tort delegacja z naciskiem podkreśli, iż jest to wyłącznie prezent dla solenizanta, a po wręczeniu daru ofiarodawczyni nie chcą mieć nic wspólnego, wyrażając gorliwe pragnienie zgodnego z rozkładem zajęć tłumaczenia kolejnej greckiej czytanki. Realizacja tego zamiaru powiodła się połowicznie. Zgodnie z planem dwie koleżanki wystąpiły z życzeniami i tortem, a na dowód czystości naszych intencji na wszystkich ławkach pojawiły się równiutko ułożone podręczniki i przybory do pisania. Doktor Macjon stanowczo odmówił jednak zabrania tortu do domu i zjedzenia go samodzielnie (czy nawet – jak zasugerowałyśmy – wspólnie z rodziną lub gośćmi). Po dłuższej chwili dość humorystycznie wyglądających prób wzajemnego „wmuszania” sobie tortu (z których, na szczęście, sam tort wyszedł bez szwanku) zapadła decyzja o wspólnym spożyciu prezentu podczas zajęć. Do pokonania pozostał

wszakże pewien problem techniczny – ponieważ nasze początkowe zamiary, w pełni szczerze, nie przewidywały takiego rozwoju wydarzeń, nikt nie dysponował talerzykiem ani łyżeczką. Ostatecznie doktor Macjon przyniósł ze swojego pokoju plik kartek czystego papieru, które posłużyły za talerzyki, a odszukana w torbie przez jedną z koleżanek łyżeczka została szlachetnym gestem przekazana solenizantowi. „Goście” jedli tort przy użyciu jednej ręki, drugą powoli obracając strony preparacji Goliasa.

Te pamiętne obchody na pozór nie zmieniły niczego w naszych wzajemnych relacjach – zajęcia z greki wciąż rozpoczynały się z niezmienną punktualnością i trwały do ostatniej minuty, dźwięk jadącej windy ciągle wywoływał w nas pewien niepokój, przypominając o nieuchronnym odpytywaniu, a ocena podczas kolokwiiów była tak samo surowa i sprawiedliwa. Kiedy jednak nadszedł Dzień Dziecka, doktor Macjon zjawił się na zajęciach z paczką kawy i wielką torbą czekoladowych cukierków.

PAJĄK

Moja ostatnia rozmowa z Józefem Macjonem, kilka miesięcy przed jego śmiercią, poświęcona była problemom z dziedziny entomologii, a raczej arachnologii. Wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że jest zżyty ze światem przyrody, kocha góry, a w jego domu mieszkają psy i koty. Tym razem jednak zadzwonił do mnie, ponieważ wiedząc, że pochodzę z rodziny biologów, spodziewał się, że mogę znać odpowiedź na pytania o to, jak długo żyją pająki i czy lepszym miejscem na zimę dla ośmionożnego gościa będzie mieszkanie, czy balkon. Moja wiedza w tym zakresie nie była niestety zbyt głęboka, ale podzieliłam się własnymi doświadczeniami z „hodowli” pająków i chwilę rozmawialiśmy o naszych „braciach najmniejszych”, o których tak mało wiemy i których tak często i łatwo krzywdzimy i zabijamy.

Czy to wspomnienie jest ważne? Czy nie należałoby raczej przywołać innych obrazów, ukazujących Józefa Macjona jako pasjonata greki i łaciny, filozofii i literatury, badacza, działacza, sportowca? Pryzmaty są różne i w różny sposób rozszepiają padające na nie światło. Dla niektórych bardziej wyraźny będzie obraz doktora Macjona deklamującego przy różnych okazjach *Homerycki hymn do Afrodyty* czy Kleantesowy *Hymn do Zeusa*, prowadzącego z profesorem Ignacym Danką rozmowy po praindoeuropejsku, przewodniczącego zebraniom łódzkiego koła PTF czy też organizującego okręgowe eliminacje olimpiady języka łacińskiego. Wielu będzie wspominać go jako zasłużonego działacza „Solidarności”, towarzyszącego w czasie strajków swoim studentom, wiernego wypowiedzianym słowom:

– Miejsce nauczyciela jest przy uczniach.

Inni za największą zasługę poczytają mu nagradzane przekłady kilkusetstronicowych łacińskich dzieł z zakresu polskiej myśli politycznej XVII wieku, nad którymi pracował do ostatnich chwil życia¹.

¹ Życiorys oraz spis publikacji Józefa Macjona do r. 2012, spisane po łacinie przez Annę Maciejewską, można znaleźć w poświęconym mu numerze pisma „Collectanea Philologica”:

Chciałabym jednak, aby przetrwał w naszej pamięci również jako człowiek, który troszczył się o bezpieczeństwo zagubionego w wieżowcu pająka.

POSTSCRIPTUM

Wiele lat temu w „Meandrze” (53, 1998, s. 54) ukazał się wiersz Józefa Macjona pod tytułem *Rumak Heliosa* – niestety, z błędem. Autor, jak się okazało, przez ponad dwadzieścia lat nie zapomniał o tym i tego nie przeboleał. Wśród poleceń do wykonania po swojej śmierci, jakie przekazał przyjaciołom i kolegom, znalazło się i to, żeby zadbać o ponowny druk wiersza, tym razem w poprawnej postaci. Spełniając to życzenie, zamieszczamy tu oryginalną, autorską wersję utworu.

JÓZEF MACJON: RUMAK HELIOSA

*Pusi, mojej Żonie
poświęcam*

Gradem tętnią kopyta
z pyska piana mu tryska
a on gna oszalały wciąż gna

zerwał stargał wędzidła
stanął jak osłupiały
czarny cały, rzał cały...

ach kopyta zagrzmiały jak grom
teraz gna oszalały byle dalej i dalej
byle gdzie byle gdzie byle wciąż...

grzywę wicher mu mierzwi
w czarnej skórze łni Helios
łeb wysoko wzniesiony
rwie chrapami powietrze
gradem tętnią kopyta
ziemią tętnią kopyta
i spod kopyt ziemia się rwie...

w piach się wryły kopyta.
czy to koniec już gnania
o radości, radości, o nie!
wierzga zadem przysiąda
w niebo skacze jak burza
czarna burza niebem już gna

Hej obłoki bielutkie
Hej jagniątka milutkie
Z drogi precz, z kopyt precz, z drogi precz
Niebem tętnią kopyta
Niebem tętnią kopyta
Niebo jasne spod kopyt się rwie.

Tam wciąż wyżej i wyżej
wciąż ku słońcu i słońcu
tam jest kres tam jest kres tam jest kres...

joanna.sowa@uni.lodz.pl

ARGUMENTUM

*Quibusdam eventibus relatis commemoratur Iosephus Macjon, qui in Universitate
Lodziensi doctor litterarum Graecarum et Latinarum fuit utriusque linguae peritus.*



Ten utwór jest dostępny na warunkach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 4.0 Międzynarodowe (CC BY 4.0), która umożliwia nieograniczone korzystanie, rozpowszechnianie i kopiowanie utworu pod warunkiem odpowiedniego oznaczenia autora i źródła.
Zob. <https://creativecommons.org/licenses/by/4.0/deed.pl>